

Wojciech Butrymowski

Pierwsze lata szkoły w Mieszkowicach : na podstawie rozmów z Czesławem Boguckim i Ireną Bogucką z domu Zajęc

Rocznik Chojeński 5, 369-372

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wojciech Butrymowski
Gimnazjum im. Noblistów Polskich
w Mieszkowicach

PIERWSZE LATA SZKOŁY W MIESZKOWICACH. NA PODSTAWIE ROZMÓW Z CZESŁAWEM BOGUCKIM I IRENĄ BOGUCKĄ Z DOMU ZAJĄC

O tym, że szkoła i sposoby uczenia się zmieniają, nie trzeba nikogo przekonywać. Jak wygląda dziś szkoła w Mieszkowicach wiem dobrze sam i wszyscy moi rówieśnicy. Jak jednak wyglądała dziesięć lub dwadzieścia lat temu, albo zaraz po II wojnie światowej, kiedy sprowadzili się tutaj pierwsi polscy osadnicy? Jakie doświadczenia i stosunek do szkoły miały ówczesne dzieci?

Spytałem o to moich dziadków. Oboje byli jednymi z pierwszych dzieci, które tutaj się uczyły. Dziadek poszedł do pierwszej klasy we wrześniu 1945 roku i miał wtedy 9 lat. Babcia do pierwszej klasy poszła mając 7 lat, w roku 1948.

Wspomnienia szkolne Dziadka

Rodzina dziadka mieszkała w Położęńczykowie, trzy kilometry od Dżisna nad rzeką Dźwiną. Ojciec dziadka był na froncie podczas II wojny światowej, szedł razem ze swoim pułkiem w stronę Odry. Jednak został ranny w Banicach i nie forsował Odry. Wrócił do domu i pomimo, iż przed wojną wybudował dom na swojej ziemi, zdecydował zabrać rodzinę i matkę do Polski na ziemie zachodnie.

Rodzina przyjechała do Mieszkowic w czerwcu 1945 roku, a dziadek poszedł do szkoły już we wrześniu. W pierwszej klasie były dzieci liczące sobie od siedmiu do piętnastu lat. W klasie byli chłopcy i dziewczęta. Były to pierwsze doświadczenia szkolne dziadka, ponieważ podczas wojny nie mógł się uczyć.

Wszyscy mówili po polsku. Nie pamięta, żeby dzieci śmiały się z siebie nawzajem, mimo że posługiwały się różnymi dialektami.

Budynek szkoły był poniemiecki i zachowało się w nim pełne wyposażenie: tablice, ławki, krzesła. Ławki były dwuosobowe – blat i siedzisko składały się na jeden mebel – z otwieranym blatem, gdzie można było przechowywać książki. Uczniowie otrzymali od szkoły podręczniki z dużymi literami i obrazkami. Zeszyty zaś kupowali rodzice w prywatnych sklepach. Pierwsze litery dzieci

pisaly stalówką maczaną w kałamarzu z atramentem. Pisanie sprawiało duże trudności, ponieważ wymagano starannej kaligrafii, a niemożliwe było uniknięcie kleksów w zeszytach i śladów atramentu na rękach. Od dzieci nie był wymagany strój szkolny, gdyż rodziców nie było stać na kupno. Każde dziecko chodziło w tym, co miało.

Pierwszą nauczycielką została mianowana porucznik Dołęgowska, gdyż umiała czytać i pisać. Przybyła ona z wojskiem, które forsowało Odrę. W tym czasie nie było w Mieszkowicach wykształconych nauczycieli, a większość repatriantów nie posiadała tej umiejętności. Mocną stroną pani porucznik była dyscyplina, gdyż wszystkie dzieci się jej bały. Natomiast nauczanie nie było profesjonalne, bo zazwyczaj dyktowała tylko z książki.

W 1946 r. dołączyła pani Puchalska (repatriantka z Dżisny), która uczyła obowiązującego wówczas języka rosyjskiego. Wykwalifikowani nauczyciele przyjechali do Mieszkowic nieco później. W młodszych klasach uczono tylko języka polskiego, matematyki i rosyjskiego. Lekcje trwały 45 minut, zaczynały się o ósmej rano. Zazwyczaj były tylko trzy godziny dziennie. **Lekcji religii uczył ksiądz Nowotarski.** Wymagał on dużej dyscypliny. Jego metody wychowawcze zapamiętał niejeden uczeń. Targał za uszy, kazał klęczeć w klasie, bił linijką po rękach, wyganiał na korytarz. Nikt nie przeciwstawiał się tym metodom, uczniowie nie skarżyli się rodzicom, bo zostaliby ukarani przez nich za złe zachowanie w szkole. W pierwszych latach nauki nagród nie było. Nauka, jak mówili rodzice, jest ważna i obowiązkowa. Kazali się uczyć, aby dzieci w przyszłości nie musiały pracować tak ciężko jak oni.

Chłopcy podczas przerw grali w piłkę. Była ona wykonana z dętki, którą wkładano się w skórzaną osłonkę i zawiązywano sznurówką. Jednak często się przebijała. Po zajęciach szkolnych dzieci dużo pracowały. Najczęściej były to ciężkie prace gospodarcze, np. wywożenie obornika na pole.

Pomimo tego, że dzieci czuły się w szkole dobrze i dosyć swobodnie, były świadome rzeczy, o których nie wolno było rozmawiać nawet z kolegami i koleżankami. U dziadka w domu tajemnicę stanowiło to, że rodzina matki przebywała na Syberii. Kiedy mój dziadek był starszy, jego ojciec słuchał informacji nadawanych przez Jeziorańskiego w Radiu Wolna Europa. Podczas odbierania audycji w domu panował nastrój konspiracyjny. Radio było ustawione bardzo cicho i wszyscy pilnowali, czy czasem ktoś z Urzędu Bezpieczeństwa nie podsłuchuje pod oknami.

Po siedmiu latach szkoły podstawowej, bo wtedy tyle właśnie klas było, dziadek kontynuował naukę w Szkole Zawodowej w Szczecinie. Zapamiętał pytanie rekrutacyjne, które brzmiało: „Kto wam pomaga w gospodarstwie?”. Już wtedy wiedział, że należy odpowiedzieć „ZSRR”, bo o Rosjanach należało mówić tylko dobrze.

Tę szkołę wspomina bardzo dobrze, ponieważ miał możliwość rozwijania swoich zainteresowań sportowych. W Mieszkowicach sala sportowa przy szkole była nieczynna. W Szczecinie natomiast uprawiał sport w bardzo dobrze wyposażonej sali. Uprawiał gimnastykę, robił salta, ćwiczył boks. Tam też zdobył podstawowe prawo jazdy, a później w wojsku zdobył kolejne kategorie. Ukończona szkoła zawodowa dawała mu wystarczające kwalifikacje, by w roku 1956 podjąć pracę w Radzie Miejskiej, w dziale księgowości.

Wspomnienia szkolne Babci

Przyjechała do Mieszkowic w 1945 roku w wieku czterech lat z mamą i dziadkami ze strony mamy. Urodziła się w Gniłowodach koło Podhajec tuż przed wcieleniem ojca do wojska rosyjskiego. Ten fakt sprawił, że go nie pamiętała. Dostał się on do niewoli niemieckiej, a koleje losu rzuciły go na Zachód Europy, skąd nigdy nie powrócił do rodziny.

Babcia poszła do Szkoły Podstawowej w roku 1948, kiedy miała ukończone 7 lat. Do szkoły odprowadzała ją starsza córka sąsiadki, gdyż mama, jako jedyna żywicielka, musiała ciężko pracować, aby utrzymać całą rodzinę. Już wtedy w pierwszej klasie przebywali tylko rówieśnicy. Nadal nie obowiązywały strój szkolny.

Pamięta swój pierwszy, czarno-biały, szkolny elementarz. Każde dziecko miało drewniane liczydło. Rodzice zobowiązani byli tylko do kupna zeszytu. Uczniowie pierwszych klas pisali w nich ołówkiem. Tak zdecydowała **polonistka przybyła z Przemyśla, pani Bisset. Natomiast matematyki uczyła nauczycielka z Warszawy, pani Irena Czarnecka.** Babcia najmilej wspomina panią Czarnecką, która była wspaniała, serdeczna, lubiana przez wszystkich uczniów. Zapamiętała jej żartobliwy zwrot do dzieci: „**ty drańciu**”. Obydwie nauczycielki po paru latach pracy wróciły do swoich rodzinnych miast.

Każde dziecko, co jakiś czas, otrzymywało kulkę tranu oraz pasek kontrolny przyklejany przez pielęgniarkę na piersi, który ściągano po tygodniu. Jeśli wystąpiły krosty podejrzewano gruźlicę. Wówczas należało pojechać z mamą do lekarza w Szczecinie, w celu wykluczenia lub potwierdzenia choroby.

Najbardziej z okresu pierwszych lat nauki Babcia zapamiętała uroczystość I Komunii Świętej w 1951 roku. Na ten dzień miała pożyczoną od kogoś białą, długą sukienkę z poszerzonymi rękawami. Na nogach miała białe tenisówki. Każda dziewczynka w kościele dostała białą lilię. W dniu uroczystości dzieci miały zbiórkę w szkole, skąd nauczyciele prowadzili je do kościoła, na mszę. Po uroczystości nauczyciele odprowadzili dzieci do szkoły na wspólny po-

silek. Podano pączki i kakao, prawdopodobnie sponsorowane przez księdza. Pod opieką rodziców czekających pod szkołą dzieci wróciły do domu. Był to koniec uroczystości. Były to również ostatnie lata, w których szkoła mogła uczestniczyć w życiu religijnym.

W szkole uczono religii. Później nakazano zdjąć krzyże i zaprzestania modlitw, a lekcje religii przeniosły się do salki katechetycznej obok kościoła. Oprócz księdza we wspomnianej salce katechezy uczył Adam Butrymowski, stryj mojego taty.

W klasach wisiały portrety Lenina, Stalina, Marksa, Engelsa, Bieruta i Rokossowskiego. Uczniów, którzy umieli wyrecytować z pamięci biografię jednego z nich, nagradzano wysoką oceną. Babcia do dziś pamięta fragmenty biografii Rokossowskiego. Za dobrą naukę były już nagrody książkowe. Natomiast za brak wyników w nauce i złe zachowanie nauczyciele bili linijką po rękach, a czasami nawet po głowie. Najsurowsza nauczycielka, pani pułkownik Dołęgowska, raz, podczas wymierzania kary niegrzecznemu uczniowi, przecięła ucho. Jeżeli dziecko nie nauczyło się, to po lekcjach zostawało w klasie, aż się nauczyło. Pilnował tego nauczyciel. Często odbywały się apele szkolne, podczas których czytano rozporządzenia.

W czwartej klasie języka polskiego uczyła Babcie pani Puchalska. W klasie piątej rozpoczęła się nauka fizyki, chemii, historii, języka rosyjskiego i prac ręcznych. Babcia nie przypomina sobie lekcji muzyki, ale często śpiewano na lekcjach. Natomiast lekcje wychowania fizycznego odbywały się na boisku szkolnym – grano w piłkę nożną i dwa ognie. Podczas przerw dziewczęta bawiły się w berka. Dzieciństwo babci nie było jednak całkiem beztroskie, ponieważ tęskniła za ojcem, który nigdy nie wrócił. Nie mogła też na jego temat rozmawiać, ponieważ przebywał za granicą, w Wielkiej Brytanii.

Po siedmiu klasach Szkoły Podstawowej w Mieszkowicach babcia podjęła naukę w Szkole Pedagogicznej w Chojnie, lecz jej nie ukończyła.

Pomimo dosyć rygorystycznych wymagań i surowych kar dziadkowie wspominają szkołę bardzo dobrze. Nie przypominają sobie żadnych stresów z nią związanych. Wręcz przeciwnie, już wtedy wiedzieli, że uczyć się czegoś pożytecznego, co pozwoli im lepiej żyć niż ich rodzicom. Było to również miejsce, w którym doświadczyli pierwszych fascynacji.